

Jarosław Stulczewski*

**WYWIAD Z ZOFIĄ WICHROWSKĄ (Z DOMU LISTOWSKĄ)
– CÓRKĄ PRZEDWOJENNYCH KIEROWNIKÓW SZKOŁY
POWSZECHNEJ W SZADKU**

Zapraszamy do lektury szóstego wywiadu, przeprowadzonego w ramach cyklicznej rubryki „Biuletynu Szadkowskiego”. Tym razem prezentujemy wywiad z panią Zofią Listowską z męża Wichrowską, córką Wiktora i Karoliny Listowskich, przedwojennych kierowników siedmioklasowej Szkoły Powszechnej w Szadku.

Skąd pochodzili Pani rodzice?

Moja mama, Karolina Buczkowska pochodziła ze Lwowa, była córką Karola (krawca) i Katarzyny. Po śmierci dziadka, babcia zamieszkała w domu opieki społecznej przy ul. Kopernika, a po wojnie trafiła do Świdnicy, skąd moja mama zabrała ją do rodzinnego domu w Uniejowie. Rodziców mojego ojca Wiktora Listowskiego nie znałam (już nie żyli, jak się urodziłam). Wiem, że miał liczne rodzeństwo. Tylko raz, tuż przed wybuchem wojny, byłam w stronach, skąd pochodzili moi rodzice. Rodzice zorganizowali wówczas wyjazd do Lwowa i Stanisławowa. W Stanisławowie mieszkał rodzony brat ojca – Józef, zamożny stary kawaler, który prowadził zakład hydrauliczny. Razem z wujkiem Józkiem mieszkała ciotka, wdowa, siostra mojego ojca. Utrzymywałam również kontakty z jednym z kuzynów – Stanisławem, który po wojnie znalazł się w Bielsku.

Pamięta Pani, gdzie uczyli się rodzice?

Mama ukończyła pięcioletnie Seminarium Nauczycielskie we Lwowie, a ojciec chyba w Stanisławowie. Mieli wykształcenie pedagogiczne.

* Jarosław Stulczewski, członek Grupy Rekonstrukcji Historycznych „Złoty Krzyż” w Zduńskiej Woli.

Gdzie i kiedy się poznali i pobrali?

Poznali się w wioskach gdzieś koło Kałusza, tam też urodziły się moje siostry. To były ukraińskie wioski – zachowały się zdjęcia z naszego wyjazdu przed wojną w te strony. Zatrzymaliśmy się wówczas na kilka dni u znajomego rodziców, ukraińskiego nauczyciela o nazwisku Posadzki – mama i tata chcieli odwiedzić strony, w których się poznali. Było tam dużo Ukraińców, ale musieli być też Polacy, skoro rodzice uczyli polskiego. Rodzice mówili po polsku i po ukraińsku. Pobrali się w 1910 r. we Lwowie.

Gdzie i kiedy urodziły się dzieci?

Najstarsza siostra, Jadwiga urodziła się w 1912 r., kolejna Maria w 1916 r., jedna w Zawaju, druga w Podmichale. Miałam jeszcze jedną siostrę, która zmarła jako niemowlę. Ja urodziłam się już w Szadku na gwiazdkę Bożego Narodzenia 1920 r.

Jak wyglądała droga zawodowa rodziców i jak trafili do Szadku?

Mama uczyła na ukraińskiej wsi, tata też, tyle że w innej. Po wojnie ojciec pierwszy zaczął poszukiwania pracy w powojennych granicach Polski. Ponieważ brakowało nauczycieli, szybko otrzymał propozycje z Sieradza, Zduńskiej Woli i Szadku. I wybrał Szadek. Dlaczego? Być może powodem było to, że przed wojną na wsi nauczycielom przysługiwało prawo posiadania kawałka ziemi rolnej i ogrodu. Nieraz później słyszałam w domu rozmowy, jak to – mając dzieci do wychowania i wykształcenia – można było nie zdecydować się na Zduńską Wolę czy Sieradz. Konsekwencją tej decyzji była konieczność opłacania pobytu najstarszej córki w Łodzi, a później także mojego i drugiej siostry. Rodzice przyprawdzili się do Szadku w 1919 r., niedługo potem ojciec objął kierownictwo miejscowej szkoły.

Jakich przedmiotów nauczali?

Wówczas uczyło się wszystkiego. Na Ukrainie prowadzili przede wszystkim lekcje polskiego i ukraińskiego.

Czy pełnili jakieś dodatkowe funkcje, mieli dodatkowe zajęcia?

Ojciec zachorował i dostał paraliżu lewej ręki i nogi, toteż niedługo był kierownikiem szkoły w Szadku i wkrótce tę funkcję objęła moja mama. Ojciec – bardzo aktywny i inteligentny człowiek – choć sparaliżowany, bardzo dużo pracował społecznie. Zorganizował Spółdzielnię Mleczarską i wszedł w skład jej zarządu. Był też w zarządzie Spółdzielni Spożycwców „Szadkowiec”. Miał bardzo lewicowe poglądy. Mama należała do Związku Nauczycielstwa Polskiego (w Łodzi lub w Sieradzu). Pamiętam, że mama pięknie śpiewała i kierowała chórem kościelnym.

Czy nie myślicie Państwo o powrocie w rodzinne strony?

Nie, rodzice przeżyli piekło zakończenia I wojny światowej. Wiem z opowiadań matki, że uciekała z płonącego domu, trzymając najstarszą córkę na ręku. Dobrze, że mieli oparcie w rodzinie – w Stanisławowie wujek posiadał dom z dużym ogrodem. Moja babcia, która była podobno Ukrainką, i dziadek Polak podarowali ziemię jakimś zakonnikom.

Czy nauczycielskie dochody wystarczały na godziwą egzystencję?

Dochody wystarczały na przeciętną egzystencję. Trudności zaczęły się w momencie, kiedy trzeba było utrzymać najstarszą siostrę na stacji w Łodzi. Rodzice wysłali ją do eleganckiego prywatnego pensjonatu, który sporo kosztował. Trudności finansowe spowodowały, że ja i druga siostra po sześciu latach szkoły podstawowej poszłyśmy do państwowego gimnazjum w Zduńskiej Woli.

Jaki był światopogląd, przekonania polityczne i religijne rodziców?

Przekonania polityczne mieli lewicowe. Wyznania katolickiego, jednak raczej nie byli religijni. W Szadku rodzice prowadzili bardzo intensywne życie kulturalne i towarzyskie – zawsze było u nas dużo gości. Pamiętam, że każdy nowo przyjeżdżający nauczyciel zatrzymywał się u nas w domu, po to aby czekać na tzw. podwodę, czyli bryczkę, która miała go odwieźć do tej czy innej wioski. Siostry często opowiadały, że mama pięknie śpiewała i prowadziła wspaniały chór parafialny. Mnie, kiedy byłam małą dziewczynką, bardzo rozpieszczał niejaki ksiądz Dyja, który ciągle dawał mi słodycze. Istniał jakiś zatarg między moimi rodzicami a księdzem proboszczem Żakiem – musiał być poważny, skoro rodzice do Pierwszej Komunii Świętej wysłali moją siostrę Marię do Łodzi. Rodzice dbali o nasze wychowanie religijne. Ja już chodziłam na lekcje religii do księdza Żaka, który je prowadził na łące pod kościołem. Ksiądz siedział na fotelu, my na trawie. Pamiętam, że zdawałam egzamin, który poszedł mi bardzo dobrze. Do Pierwszej Komunii Świętej przystąpiłam w kościele w Szadku. Przy okazji tej uroczystości u księdza na plebani w ogrodzie było wspólne śniadanie.

Gdzie mieszkaliście Państwo w Szadku przed wojną?

Na rogu ul. Wilamowskiej i Prusinowskiej w miejscu, gdzie dziś jest szkoła, był ogród należący do Żydówki. Szadek nigdy nie miał porządnego budynku szkolnego. Rodzice mieli mieszkanie w szkole przy ul. Wilamowskiej. Była tam duża brama i podwórko. Wejście od ulicy było zamknięte, więc wchodziło się od podwórka. Z jednej strony była przybudówka i wejście do tej części budynku, gdzie mieliśmy kuchnię i trzy pokoje, dwa większe a jeden mniejszy. Wejście po schodkach z drugiej strony budynku prowadziło do biblioteki (po lewej stronie) i dwóch sal klasowych. Część dzieci miała lekcje w budynku przy ul. Wilamow-

skiej, a pozostałe przy ul. Warszawskiej, gdzie w dwóch budynkach u państwa Wróblewskich były również pomieszczenia szkolne. Jak chodziłam do czwartej i piątej klasy, to na wprost ulicy prowadzącej do Uniejowa był budynek (później przeznaczony na komisariat milicji), gdzie również były zajęcia lekcyjne.

Czy pamięta Pani jakieś wyjątkowe wydarzenia w Szadku przed wojną, w które angażowali się rodzice?

Pamiętam uroczystość dziesięciolecia odzyskania przez Polskę Niepodległości w 1928 r. Ojciec przemawiał na balkonie u państwa Adamowiczów przy rynku. W Szadku tylko jedna kamienica miała balkon [obecnie jest to kamienica przy ul. Rynek 23 – J. S.]. Obok ojca stało sporo osób i pamiętam, że coś tam się zarysowało. Na szczęście ostatecznie balkon się nie oberwał.

Jak wyglądało życie towarzyskie rodziców przed wojną, czy odwiedzali ich inni nauczyciele?

Nasz dom pełnił funkcję hotelu dla wszystkich młodych nauczycieli, którzy przyjeżdżali pierwszy raz, aby objąć posadę gdzieś w okolicy. Mieliśmy częste kontakty z nauczycielami z pobliskich wiosek. Pamiętam spacerować aż do Choszczewa, gdzie mieszkała nauczycielka zaprzyjaźniona z rodzicami. W niedziele nauczycielki przyjeżdżały do szadkowskiego kościoła i po mszy odwiedzały nas, zostawały na obiad. Moi rodzice byli ludźmi bardzo towarzyskimi.

Czy nauczyciele w Szadku byli w jakiś sposób zrzeszeni?

W Związku Nauczycielstwa Polskiego. Myślę, że Szadek też miał swoje ognisko, a jeżeli nie Szadek, to na pewno Zduńska Wola albo Sieradz, który był miastem powiatowym.

Gdzie w okolicy Szadku przed 1939 r. funkcjonowały jakieś szkoły?

Pamiętam szkoły w Choszczewie i Grzybowie. To było nie daleko. No i jeszcze chyba w Woli Przatowskiej.

Jak wyglądał wówczas tydzień nauki w szkole?

Trzeba było uczyć trzydzieści sześć godzin – jestem tego pewna, gdyż zaraz po wojnie obowiązywał taki sam wymiar czasu pracy nauczyciela. Kiedy pojechałam na zachód do wioski kolejowej Marciszów, gdzie pracowałam w szkole, to też uczyłam trzydzieści sześć godzin tygodniowo (sześć dni w tygodniu po sześć godzin).

W jaki sposób spędzaliście Państwo wolny czas i wakacje?

Przed wojną nie wyjeżdżałam na wakacje. Dla biednych łódzkich dzieci robotników fabrycznych rodzice organizowali kolonie. Ławki wystawiano na podwórko, a klasy (u nas i przy ul. Warszawskiej) zamieniały się w tymczasowe sypialnie. Dzieci nie miały łóżek, ale na podłodze były kładzione sienniki.

Czy pamięta Pani jakieś nazwiska kolegów, koleżanek z okresu dzieciństwa w Szadku?

Tak, Irena Maciaszek z męża Poreda z mojej ulicy, Genowefa Beda z męża Sarnik. Jedna z koleżanek wyjechała do Ameryki, niestety zmarła, nazywała się Szejówna. Szejowie mieli sklepik w rynku, jak się wychodzi od ul. Dolnej, w bardzo kiepskiej chałupie mieszkała biedota. Szejowie mieli kupę dzieci, ale jedno z nich, Jadwiga była moją rówieśnicą. Ponieważ utrzymywałam z nią kontakt, wiem, że później pracowała w Łodzi, jako piastunka do dzieci. Potem ci państwo wyjechali i ona się znalazła najpierw w Anglii, a później w Ameryce, gdzie wyszła za mąż. Do dzisiaj mam jej zdjęcia ślubne. Gdy byłam w Niemczech u mojej przyjaciółki Mejer (dzisiaj już nie żyje) w miejscowości Winzen, przypadkowo zostałam zaproszona do pani, która przyjechała z Polski i okazało się, że to była druga Szejówna, Zofia, siostra Jadwigi. Ostatnio dowiedziałam się, że zmarła jeszcze jedna z moich koleżanek, Hela Maliszewska z męża Linke. Była jeszcze Zosia Adamowicz, taki trochę odludek – rok temu byłam na jej grobie w Szadku, już po śmierci koleżanki Sarnik.

Jakich nauczycieli z Szadku Pani zapamiętała?

Pana Wituszyńskiego, którego spotkałam po wojnie na molo w Sopocie. Władysława Kwaśnego, który był mężem mojej najstarszej siostry Jadwigi. Rapacz-Niedźwiedzka, która potem zdaje się wyjechała do Zduńskiej Woli, oraz Irenę Lipińską i panią Mroczkowską.

Czy w szkole miała Pani łatwiej od innych dzieci z powodu tego, że rodzice byli jej kierownikami?

Łatwiej chyba nie, ale może, już nie pamiętam. Wiem, że byłam zarozumiała i wydawało mi się, że jestem najmądrzejsza, ponieważ sama napisałam jakąś sztukę teatralną i mama zgodziła się, abym ją z koleżankami wystawiła w szkole. Byłam rozpieszczonym bachorem, któremu wszystko było wolno, a piątki w szkole nie wiem, czy wynikały z mojej mądrości, bo już w szkole średniej okazało się, że nie jestem wcale takim prymusem. Może po prostu nauczyciele, jak np. pani Mroczkowska, liczyli się z moją mamą i chcieli się trochę przypodobać?

W 1926 r. społeczność szkolna w Szadku wysłała na adres kongresu USA życzenia dla narodu amerykańskiego. Uroczysty formularz zawierał napis:

Szkolnictwo polskie w hołdzie narodowi amerykańskiemu na pamiątkę 150-lecia niepodległości Stanów Zjednoczonych. Szkoła powszechna No 2. Miejscowość Szadek, powiat Sieradz. Opiekun I. Lipińska. Kierownik szkoły Karolina Listowska. Na konturze orła białego i „drzewa życia” nauczyciele i uczniowie złożyli podpisy.

O tym dowiedziałam się stosunkowo niedawno. Z opowiadań siostr wiem, że moja mama bawiła się w teatr w Szadku. W starej remizie wystawiane były sztuki Żeromskiego i inne. Jak byłam mała, zabrano mnie na przedstawienie, ale narobiłam wielkiego hałasu, tak że musieli mnie wynieść. Mama pomagała również w zbieraniu prezentów dla dzieci i zabierała nas do gimnazjum w Zduńskiej Woli, które organizowało spotkania ze Świętym Mikołajem. Był tam też bal dla dzieci, organizowany przez Seminarium Nauczycielskie w Zduńskiej Woli.

Zamiętała Pani jakieś osoby, które były przez wojną szczególnie znane w Szadku?

Pamiętam doskonale doktora Ignacego Lipińskiego oraz felczera Jana Kowalskiego, który mieszkał koło kościoła (idąc w stronę kościoła po lewej stronie). Doktor Lipiński był znany, jako lekarz od wszystkiego – mnie, gdy byłam dzieckiem, wyrywał zęby.

Kiedy i dlaczego Pani rodzice wyprowadzili się do Uniejowa?

Moja mama zaczęła chorować. Miała roczny urlop. Wyjechała do Sanatorium Nauczycielskiego w Zakopanem. Na gwiazdkę 1936 r. pojechała do mamy moja siostra Maria, ja pojechałam tam latem. Mama długo chorowała na gruźlicę, która zresztą była przyczyną jej śmierci. Po pobycie w sanatorium mama zrezygnowała z pracy w szkole i przeszła na emeryturę. W Uniejowie pracę podjęła moja siostra Jadwiga, która wcześniej była nauczycielką w szkole na Chojnach w Łodzi. Wraz z mężem wynajęli w Uniejowie mieszkanie przy ul. Kościelniczej. Także mojemu ojcu, który pomagał siostrze wychować syna, Uniejów bardzo się podobał. Ojciec kupił tam kawałek ziemi, działkę przy ul. Kościelniczej i zaczął budować dom, który ukończył dopiero w 1939 r., W tym samym roku pod koniec czerwca wyjechaliśmy w strony rodzinne rodziców, gdzie byliśmy do końca lipca. Po przeprowadzeniu się do Uniejowa rodzice pozostawali na emeryturze.

Mało kto wie, ale Pani ojciec 10 września 1939 r. został zabity przez żołnierzy Wehrmachtu w okolicach wsi Jeziorsko. A wujek Władysław Kwaśny, który też był nauczycielem w Szadku, stracił życie w Mauthausen. Jak to się stało?

Kiedy wróciliśmy z podróży na wschód do Lwowa i Stanisławowa, wybuchła II wojna światowa. Pierwsze naloty i ogromne przerażenie. Pamiętam słowa taty: *moje dziecko to jest wojna, nikt nie może zagwarantować, że ty będziesz*

żyła albo ja. Tak baliśmy się pozostać w Uniejowie, że spakowaliśmy się i postanowiliśmy uciekać polami, lasami gdzieś w kierunku Łęczycy. Poszłam z mamą i siostrą (wróciłyśmy do Uniejowa po kilku dniach), natomiast ojciec powiedział, że jest chorym człowiekiem, kuleje, nie może chodzić i nigdzie z domu się nie ruszy. Zostanie, bo wie, jak było w czasie I wojny światowej – gdy uciekali, stracili wszystko, cały majątek i wszystkie rzeczy. Niemcy, gdy weszli do Uniejowa, szli ul. Kościelnicką, zabierali wszystkich mężczyzn i zamykali w kościele. Ojciec, który doskonale znał niemiecki, po rozmowie z jednym z Niemców został wypuszczony, jednak inny Niemiec ponownie go zamknął. Znajomi opowiadali, że w nocy w kościele było zimno i ojciec okrył się obrusem ściągniętym z ołtarza. Kiedy na drugi dzień Niemcy wyprowadzili wszystkich mężczyzn z kościoła na środek rynku i poustawiali ich w grupach z pobliskiego lasku, gdzie ukryli się polscy żołnierze, padły strzały. Rozpoczął się atak na Uniejów – ludzie się rozproszyli, niektórzy uciekli do pobliskich domów. Jednak Niemcom udało się zebrać grupę aresztowanych mężczyzn, których pognali w kierunku Kalisza. Ojciec szedł wolno, było mu tak ciężko iść, że szedł na samym końcu z grupą Żydów. Według relacji przekazanych mojej mamie w Jeziorsku zrobiono odpoczynek, a kiedy ruszano w dalszą drogę ojciec powiedział do Niemca, że on dalej nie pójdzie. Wtedy ten strzelił ojcu prosto w głowę, a Żydów pognął dalej. Mama przeczuwała, że tata zginął, choć jeden z tych prowadzonych zdołał uciec i po powrocie do Uniejowa przekazał informację, że ojciec szedł z nimi i na pewno żyje, bo tam tylko jednego Żyda zabili. Ale mama, jak to usłyszała, razem z moją siostrą poszły pieszo do Jeziorska, gdzie znalazły przy rowie przysypane ziemią zwłoki ojca. To było już tydzień od jego śmierci i mama, która została w Jeziorsku, wyciągnęła z marynarki ojca dowód, zdjęcia i zegarek kieszonkowy, a siostra wróciła do Uniejowa, żeby zorganizować furmankę i trumnę. Zwłoki taty przewieziono prosto na cmentarz, bo kościół był już zrujnowany.

Z kolei mój szwagier, Władysław Kwaśny, nauczyciel, był powołany do wojska w 1939 r., wkrótce jednak po wybuchu wojny ich oddział został rozproszony. Kiedy powrócił do Uniejowa, ponieważ świetnie znał niemiecki, poszedł do jakiegoś majątku, zdaje się w Wólce Przatowskiej, gdzie potrzebowano osoby znającej niemiecki i polski. Wiosną 1940 r. w niedzielę w trakcie nabożeństwa niemieccy żandarmi zaczęli wyprowadzać z kościoła nauczycieli. Wybiegłam z kościoła i uprzedziłam szwagra, który zdecydował, że w tej sytuacji pójdzie pieszo do Wólki, żeby mieć dowód, że tam pracuje. O żadnych obozach nie było wówczas jeszcze wiadomo, a Niemcy rozpowiadali, że biorą nauczycieli na przeszkolenie do szkół. Władek poszedł w kierunku majątku, w którym był zatrudniony, a mnie siostra wysłała na wieś, aby zawiadomić jego kolegę, że też jest poszukiwany. W drodze do majątku szwagra minęli jadący bryczką żandarmi, którzy, gdy dowiedzieli się, że go nie ma w miejscu pracy, wrócili do naszego domu i pobili siostrę za to, że ich wprowadziła w błąd mówiąc wcześniej, że mąż jest w pracy. Wszystkich aresztowanych nauczycieli wywieziono do Turku. Później wywieziono również mojego

szwagra (i jego kolegę), który sam się zgłosił, gdyż siostra bała się, że zabiorą ją i dziecko. Gdy nadeszła wiadomość, że Władysław Kwaśny nie żyje, siostra wraz z synkiem Jankiem i moją mamą pojechały do Mauthausen, aby zidentyfikować ciało. Ja nie pojechałam, bo byłam aresztowana w Uniejowie – na szczęście pomogli mi wówczas niemieccy inżynierowie.

Jak przeżyła Pani okres okupacji hitlerowskiej?

Miałam o tyle dobrze, że chodząc do szkoły uczyłam się niemieckiego. Jak nasz dom zajęli Niemcy na *Warsztatwistatamd*, to pokoje zabrali na biura, ale pozwolili mieszkać w suterrenach. Znając trochę niemiecki, pracowałam w biurze działającym w naszym domu jako urzędniczka. Wszystko byłoby dobrze, stosunki z Niemcami były niezłe i wszyscy uważali, że nasz dom jest bezpieczny, jednak firma zaprosiła na wakacje jakiegoś baurata z Berlina. Moja siostra gotowała, a firma to finansowała. To był okres, gdy Niemcy wywozili pierwszych Żydów z getta łódzkiego do Chełmna nad Nerem. Przypomina mi się takie zdarzenie, gdy jechałam służbowo rowerem, koło mnie przejechała ciężarówka z transportem Żydów. Auto zatrzymało się na rynku w Uniejowie, aby Niemcy, którzy pilnowali transportu, mogli napić się wody. Był lipiec 1942 r. – gorąco, upał. Podczas tego postoju Żydzi zaczęli krzyczeć, że wiozą ich na śmierć, wówczas Niemcy zaczęli strzelać. Kiedy wróciłam do domu i usiadłam nad rzeką, byłam blada jak ściana. Wówczas przyszła ta bauratowa, która przyjechała na odpoczynek i mieszkała u nas na górze i pyta mi się: *Warum Sie so glas geworden?* („Co Pani jest taka blada?”) Opowiedziałam jej, że byłam świadkiem, jak wieźli tych Żydów, a ona popatrzyła na mnie wyniośle i powiedziała, że to jest śmierć przynajmniej humanitarna, natomiast niemieccy żołnierze giną na froncie w gorszych warunkach. Kilka dni później przyjechał autem kierowca-Polak, żeby tych państwa bauratów odwieźć na pociąg do Poznania. I to on powiedział mi: *Zośka ty musisz uciekać, ponieważ Niemka całą drogę opowiadała, co ta smarkata tutaj robi. Ona powinna być już dawno wywieziona na roboty do Niemiec.* Po otrzymaniu takiej wiadomości nie pozostało mi nic innego, jak tylko uciekać. Ratunku szukałam w Łęczycy, gdzie chodziłam do gimnazjum.

Jak wiem Pani wraz ze swoimi dwiema siostrami przejęły zawód po rodzicach. Z czego to wynikało?

Po wojnie w Uniejowie brakowało nauczycieli. Z mężczyzn powrócił tylko pan Jakubowski. Jako nauczyciel pracował miejscowy wikary. Władze miejskie prosiły nas o zorganizowanie szkoły. Zabrała się do tego moja siostra, Jadwiga, która objęła funkcję kierowniczkę. Zaangażowała moją siostrę Marię i mnie. Ponieważ nie byłyśmy z wykształcenia nauczycielkami, w czasie wakacji zorganizowano nas jakieś ekstrakursy. Mówiono, że w Uniejowie była szkoła „panien Listowskich”. Ponieważ miałam kolegę, który wyjechał na ziemie zachodnie i namawiał mnie, aby też wyjechała, później opuściłam Uniejów.

Czy po wojnie odwiedzała Pani Szadek?

Naturalnie, tak. Zawsze byłam w kontakcie z przyjaciółkami. Nieraz odwiedzałam Szadek. Ostatni raz rok temu.

Z kim z Szadku utrzymuje Pani do dziś kontakt?

Najczęstsze kontakty miałam z moją szkolną koleżanką Ireną Maciaszek (z męża Poreda), ale ona już nie żyje. Teraz utrzymuję jeszcze kontakt z panią Krystyną Szymańską.

Długo mieszka Pani już na Dolnym Śląsku?

Od 1945 r.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Bardzo miło było wrócić do wspomnień. To trochę taki przymusowy rachunek sumienia. Wszystkiego dobrego życzę.

22 czerwiec 2011 r.

Nota biograficzna

Zofia Wichrowska, z domu Listowska, urodziła się 28 grudnia 1920 r. w Szadku. Jej rodzicami byli Wiktor Listowski i Karolina z Buczkowskich. Po ukończeniu sześciu klas Szkoły Powszechnej w Szadku zdała w 1933 r. do Państwowego Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego w Zduńskiej Woli. W 1936 r. rozpoczęła czwartą klasę w Gimnazjum i Liceum im. Grzegorza Piramowicza w Łęczycy. W tym samym roku rodzina przeprowadziła się do Uniejowa, co utrudniło dojazd do szkoły w Zduńskiej Woli. Szkoły nie ukończyła z powodu wybuchu II wojny światowej. W czasie wojny pracowała jako urzędniczka w jednej z niemieckich firm w Uniejowie. Nie mając pełnych kwalifikacji, zaraz po zakończeniu okupacji, w sytuacji braku nauczycieli rozpoczęła nauczanie dzieci w szkole w Uniejowie. Od jesieni 1945 r. do 1948 r. uczyła w szkole podstawowej w Marciszowie (pow. kamiennogórski). Później zdała eksternistycznie maturę przy Liceum Pedagogicznym we Wrocławiu. W 1948 r. poślubiła w Kamiennej Górze Stefana Wichrowskiego, kierownika Szkoły Podstawowej w Kamiennej Górze przy ul. Skłodowskiej-Curie, po czym rozpoczęła pracę w Szkole Podstawowej nr 2 w Kamiennej Górze. Następnie pracowała razem z mężem w Zespole Szkół Zawodowych w Kamiennej Górze. Była nauczycielką języka polskiego. W 1984 r. przeszła na emeryturę. Za swoją pracę została wyróżniona nagrodą ministra oraz szeregiem odznaczeń, m. in. Złotym Krzyżem Zasługi oraz Złotą Odznaką ZNP. Obecnie mieszka w Kamiennej Górze.